

ROBERT
HARRIS
OFICER I SZPIEG

POWIEŚĆ, KTÓRA ZACHWYCIŁA ROMANA POLAŃSKIEGO

1

— Major Picquart do ministra wojny...

Wartownik przy rue Saint-Dominique wychodzi z budki, żeby otworzyć mi bramę, a ja w tumanach śniegu przebiegam przez wietrzny dziedziniec do ciepłego holu *hôtel de Brienne*, gdzie z fotela wstaje elegancki młody kapitan Gwardii Republikańskiej i salutuje. Powtarzam mu to samo, niecierpliwie:

— Major Picquart do ministra wojny...!

Maszeruję w nogę za kapitanem — po czarnych i białych marmurowych płytach posadzki tej oficjalnej rezydencji ministra, po krętych schodach, obok srebrnych zbroi z okresu króla Ludwika XIV, obok koszmarnego przykładu kiczu z okresu cesarstwa, *Napoleona przekraczającego przełęcz świętego Bernarda* pędzla Davida, aż docieramy na pierwsze piętro. Tam zatrzymujemy się przy oknie wychodzącym na teren posiadłości, kapitan idzie zapowiedzieć moje przybycie, a ja, zostawszy sam, mogę przez chwilę napawać się rzadkim i pięknym widokiem — ogrodu w samym środku miasta, uciszonego przez śnieg w zimowy poranek. Nawet żółte elektryczne światła w gmachu Ministerstwa Wojny, migoczące zza zwiewnych drzew, mają w sobie coś magicznego.

— Generał Mercier pana oczekuje, majorze.

Ściany ogromnego gabinetu ministra zdobi bladoniebieska

tkanina, długi balkon wychodzi na biały teraz trawnik. Przed rozpalonym kominkiem, grzejąc nogi od tyłu, stoją dwaj starsi mężczyźni, najwyżsi rangą oficerowie w Ministerstwie Wojny. Jeden to generał Raoul le Mouton de Boisdeffre, szef sztabu generalnego, ekspert od Rosji i wszystkiego, co rosyjskie, oraz architekt naszego rodzącego się sojuszu z nowym carem; spędził na carskim dworze tyle czasu, że ze swoimi sztywnymi bokobrodami wygląda niczym rosyjski hrabia. Drugi, ciut starszy, bo liczący sobie sześćdziesiąt lat, to jego przełożony — minister wojny generał Auguste Mercier we własnej osobie.

Pewnym krokiem podchodzę na środek dywanu i salutuję.

Twarz Merciera, dziwnie pomarszczona i nieruchoma, przypomina skórzaną maskę. Czasami miewam przedziwne złudzenie, że przez te wąskie szparki oczu obserwuje mnie zupełnie kto inny.

— No cóż, majorze Picquart, nie zajęło im to dużo czasu — odzywa się tradycyjnie cichym głosem. — O której się skończyło?

— Pół godziny temu, panie generale.

— Czyli to już naprawdę koniec?

Kiwam głową.

— Owszem, już po wszystkim.

I tak to się zaczęło.

. . .

— Proszę podejść i usiąść przy kominku — poleca minister. Jak zawsze, mówi bardzo cicho. Wskazuje mi pozłacany fotel. — Niech pan go przysunie. I zdejmie płaszcz. Proszę nam opowiedzieć ze szczegółami, jak to się odbyło.

Sam przysiada wyczekująco na skraju swojego fotela — pochylony, ze splecionymi dłońmi i łokciami opartymi na kolanach. Względy protokolarne nie pozwoliły mu osobiście uczestniczyć w porannym widowisku. Znalazł się w sytuacji impresaria, który nie zdążył na własny spektakl. Jest więc

spragniony szczegółów — wnikliwości, spostrzeżeń, kolorytu.

— Przede wszystkim, jaki nastrój panował na ulicach?

— Powiedziałbym, że nastrój... wyczekiwania.

Opisuję, jak przed świtem wyszedłem po ciemku z mieszkania i pieszo dotarłem do École Militaire, a potem, przechodząc wreszcie do tematu, mówię, że na ulicach panował niezwykle spokój. No ale była przecież sobota — żydowski szabas. Mercier przerywa mi z uśmiechem — nieznacznym, a jednak lodowato zimnym. Prawdę mówiąc, chociaż nie wspominam o tym słowem, kiedy tak maszerowałem mrocznymi chodnikami rue Boissière i avenue du Trocadéro, przyszło mi do głowy, że wielka inscenizacja generała może zrobić kompletną klapę. Ale wtedy dotarłem do Pont de l'Alma, zobaczyłem niewyraźne postacie przechodzące tłumnie nad ciemnymi wodami Sekwany i uświadomiłem sobie coś, o czym Mercier wiedział od zawsze — że pragnienie oglądania upokorzenia innego człowieka każdego rozgrzeje na tyle, by niestraszny mu był największy ziąb.

Wmieszałem się w cizbę sunącą na południe, za rzekę i dalej, avenue Bosquet... W takie zagęszczenie ludzkości, że aż się wylewała z drewnianych trotuarów na jezdnię. Przypominała mi tłum na wyścigach konnych, złączony wspólnym poczuciem oczekiwania, tą samą pogonią za nieznającą podziałów klasowych rozrywką. Gazeciarze przeciskali się tam i z powrotem, sprzedając poranne wydania dzienników. Z koksiaaków na poboczu unosił się zapach pieczonych kasztanów.

Na końcu alei oderwałem się od reszty i skręciłem w kierunku École Militaire, w której aż do ubiegłego roku byłem wykładowcą topografii. Za moimi plecami tłum ciągnął na oficjalny punkt zborny: Place de Fontenoy. Rozjaśniało się. Z École dobiegały odgłosy werbli i trąbek sygnałowych, tętent kopyt i przekleństwa, wykrzykiwane rozkazy, tupot wojskowych buciorów. Każdy z dziewięciu pułków piechoty

stacjonujących w Paryżu dostał rozkaz, by na uroczystość przysłać po dwie kompanie: jedną złożoną z doświadczonych żołnierzy, a drugą z rekrutów, którym — zdaniem Merciera — ten przykład podniesie morale. Kiedy przemierzywszy wspaniałe salony, wyszedłem na cour Morland, zbierali się już tysiącami na zamrażniętym błocie.

Dotychczas nie uczestniczyłem w publicznej egzekucji, nie poznałem więc smaku tej szczególnej atmosfery, lecz wyobrażam sobie, że z pewnością przypominała atmosferę panującą tego ranka w École. Ogrom cour Morland tworzył jakże stosowną oprawę dla tak wspaniałego widowiska. W oddali, za barierkami i kordonem żandarmów w czarnych mundurach, drgało olbrzymie szemrzące morze różowych twarzy. Każdy centymetr kwadratowy placu był zajęty. Ludzie stali na ławach i na dachach powozów i omnibusów, siedzieli na konarach drzew, a komuś udało się nawet wdrapać na szczyt pomnika ku czci poległych w wojnie francusko-pruskiej z roku 1870.

Mercier, który chłonie każde moje słowo, pyta:

— Na ile ocenia pan liczbę obecnych?

— Policja paryska zapewniła mnie, że dwadzieścia tysięcy.

— Doprawdy? — Spodziewałem się, że minister będzie pod większym wrażeniem. — Wie pan, że pierwotnie chciałem urządzić tę ceremonię w Longchamps? Tamtejszy tor wyścigowy może pomieścić pięćdziesiąt tysięcy widzów.

— I wygląda na to, że zdołałby go pan zapełnić, panie ministrze — wtrąca, podlizując się, Boisdeffre.

— Ma się rozumieć, że byśmy go zapełnili! Ale zdaniem ministra spraw wewnętrznych istniała groźba, że dojdzie do rozruchów. A ja powiadam: im większy tłum, tym skuteczniejsza jest lekcja.

Ja uważałem, że dwadzieścia tysięcy to bardzo dużo. Zgiełk zebranych, choć stłumiony, był złowróżbny niczym oddech jakiegoś mocarnego zwierza, który wprawdzie chwilowo jest spokojny, lecz w mgnieniu oka może stać się groźny. Tuż

przed ósmą pojawiła się eskorta kawalerii. Kiedy jechała kłusem przed tłumem, bestia nagle się rozbudziła, bo między jeźdźcami można było dojrzeć czarny furgon więzienny zaprzężony w cztery konie. Fala gwizdów narastała, przetoczyła się nad kawalkadą. Orszak zwolnił, otwarto bramę i przy wtórze stukotu kopyt o bruk powóz i pilnująca go straż wjechali na teren École.

Gdy patrzyłem, jak znikają na wewnętrznym dziedzińcu, odezwał się stojący obok mnie mężczyzna:

— Zauważcie, majorze Picquart: Rzymianie rzucali lwom na pożarcie chrześcijan, my im rzucamy Żydów. To chyba postęp, co?

Człowiek ten, zakutany w szynel z postawionym kołnierzem, miał gruby szary szal na szyi i nisko opuszczoną na oczy czapkę. Najpierw poznałem go po głosie, a później po tym, jak całe jego ciało dygotało niepohamowanie.

Zasalutowałem.

— Pułkownikowi Sandherr — przywitałem się.

— Skąd będziecie obserwowali przedstawienie? — zapytał.

— Nie zastanawiałem się nad tym.

— Zapraszam, dołączcie do mnie i moich żołnierzy.

— To dla mnie zaszczyt. Najpierw jednak muszę sprawdzić, czy wszystko przebiega ściśle według wytycznych ministra.

— Kiedy skończycie wypełniać obowiązki, będziemy tam.

— Drżącą ręką wskazał na drugą stronę cour Morland. — Będziecie mieli dobry widok.

Obowiązki! Z perspektywy czasu zastanawiam się, czy z jego strony był to sarkazm. Podszedłem do biura garnizonu, gdzie więźnia pilnował kapitan Lebrun-Renault z Gwardii Republikańskiej. Nie miałem ochoty oglądać znowu skazańca. Zaledwie przed dwoma laty był moim studentem właśnie w tym budynku. Teraz nie miałem mu nic do powiedzenia; nic do niego nie czułem; żałowałem, że w ogóle się urodził, i chciałem, żeby raz na zawsze zniknął... z Paryża, z Francji, z Europy. Kawalerzysta poszedł i sprowadził mi kapitana.

Lebrun-Renault okazał się potężnym chłopem o rumianej twarzy i wyglądzie koniarza, zdecydowanie bardziej w typie policjanta niż żołnierza. Wyszedł do mnie i poinformował:

— Zdrajca jest zdenerwowany, ale spokojny. Nie sądzę, żeby sprawiał kłopoty. Szwy na epoletach jego munduru i guziki poluzowano, a klingę szpady na w pół przecięto, żeby na pewno łatwo się złamała. Niczego nie pozostawiono przypadkowi. Jeśli spróbuje przemówić, na znak generała Darrasa orkiestra zacznie grać i słowa zdrajcy utoną w muzyce.

— Zastanawiam się, jaką melodię należy zagrać, żeby utopić człowieka? — wtrąca teraz z zadumą Mercier.

— Szantę, panie ministrze? — podsuwa usłudźnie Boisdeffre.

— Dobrze — chwali Mercier roztropnie, acz bez uśmiechu; on rzadko się uśmiecha. Znów zwraca się do mnie: — A więc obserwował pan przebieg uroczystości z Sandherrem i jego żołnierzami. Co pan o nich sądzi?

Nie bardzo wiedząc, co odpowiedzieć — w końcu Sandherr jest przecież pułkownikiem — mówię ostrożnie:

— Że to grupa oddanych patriotów wykonujących nieocenioną pracę, choć nie czekają ich za to żadne zaszczyty.

To dobra odpowiedź. Na tyle znakomita, że może od niej zależeć cała moja przyszłość, zwłaszcza w obliczu tego, o czym zamierzam opowiedzieć. Tak czy owak, Mercier — albo człowiek za maską udającą Merciera — przygląda mi się badawczo, jakby sprawdzał, czy z niego kpię, po czym z uznaniem kiwa głową.

— Ma pan rację, Picquart — przyznaje. — Francja wiele im zawdzięcza.

Sześciu mężczyzn uosabiających to wcielenie cnót — eufemistycznie nazwana „sekcja statystyczna” sztabu generalnego — stawilo się tego ranka w komplecie, by obejrzeć zwieńczenie swojego dzieła. Odszukałem ich, kiedy już skończyłem rozmowę z kapitanem Lebrunem-Renault. Trzymali się na uboczu, z dala od reszty towarzystwa, w południowo-zachodnim rogu placu apelowego, osłonięci od

wiatru jednym z niskich budynków otaczających dziedziniec. Sandherr, z rękami w kieszeniach i ze zwieszoną głową, sprawiał wrażenie, jakby błądził myślami gdzieś daleko...

— Czy pamiętasz — wpada mi w słowo minister wojny, zwracając się do Boisdeffre'a — że Jeana Sandherra nazywali „najprzystojniejszym wojskowym w całej Francji”?

— Pamiętam, panie ministrze — potwierdza szef sztabu generalnego. — Biedak... Dziś trudno w to uwierzyć.

Po jednej ręce pułkownika Sandherra stał jego zastępca, spasiony alkoholik o twarzy w kolorze cegły, i z regularnością metronomu pociągał ze spiżowej piersiówki; po drugiej jedyny znany mi z widzenia jego podwładny — zwalisty major Joseph Henry, który poklepał mnie po ramieniu i tubalnym głosem oświadczył, że ma nadzieję, iż wspomnę o nim w raporcie dla ministra. W porównaniu z nim dwaj młodszy oficerowie z sekcji, obaj w stopniu kapitana, wydawali się zgoła bezbarwni. Był wśród nich również cywil, kościsty urzędnik z lornetką teatralną przy oczach, którego wygląd nasuwał wrażenie, że rzadko bywa na świeżym powietrzu. Przesunęli się, żeby zrobić mi miejsce, a alkoholik zaproponował mi nawet łyk swojego obrzydliwego koniaku. Wkrótce dołączyli do nas dwaj inni ludzie z zewnątrz — bystry urzędnik z Ministerstwa Spraw Zagranicznych oraz du Paty de Clam, ten przerażająco durny pułkownik ze sztabu generalnego; w porannym świetle jego monokl błyskał niczym pusty oczodół.

Tymczasem zbliżała się pora rozpoczęcia uroczystości, pod złowrogim bladym niebem wyczuwało się napięcie. Na widowisko ściągnięto blisko cztery tysiące żołnierzy, żaden z nich jednak nie wydał najcichszego dźwięku. Nawet w tłumie zapanowała cisza. Jedynie na obrzeżach cour Morland coś jeszcze się działo — kilku zaproszonych gości wciąż kierowano na właściwe miejsca, ci zaś śpieszyli się, skruszeni niczym spóźnialscy na pogrzebie. Część widzów przed barierkami rozpoznała drobną, szczupłą kobietę w białym futrze, takiej

samej czapce, mufce i z niebieską parasolką z falbankami w rękę, którą eskortował wysoki porucznik dragonów, i naraz nad błotem uniosły się brawa podkreślane okrzykami: „Hura!” i „Brawo!”.

Sandherr uniósł głowę.

— A to co za jedna, do diaska?! — burknął.

Któryś z kapitanów odebrał lornetkę teatralną urzędnikowi i wycelował ją w kobietę w futrze, która tymczasem dziękowała tłumom, kiwając głową i z wdziękiem kręcąc parasolką.

— Niech mnie kule biją, jeśli to nie boska Sarah! — Wyregulował nieco ostrość lornetki. — A prowadzi ją Rochebouet z Dwudziestego Ósmego. Ten to ma szczęście!

Mercier siada prosto w fotelu, skubiąc białego wąsa. Sarah Bernhardt zaszczyciła swoją obecnością jego inscenizację! Właśnie takich rzeczy ode mnie oczekuje: artystycznego blichtru, towarzyskich plotek. Mimo to udaje, że jest niezadowolony.

— Ciekawe, kto wpadł na pomysł, żeby zaprosić jakąś aktoreczkę...

Za dziesięć dziewiąta dowódca parady, generał Darras, przejechał stępa brukowaną ścieżką na środek placu apelowego. Wierzcholec generała — klacz — parsknął i zwiesił łeb, kiedy jeździec ściągnął cugle; przestępując z nogi na nogę, obrócił się wkoło, obserwując mrowie gapiów, pogrzebał kopytem po stwardniałym błocie i znieruchomiał.

Gdy zegar zaczął wybijać dziewiątą, rozległa się komenda:

— Kompanie! Bacność!

Jednocześnie, jak grzmot pioruna, trzasnęły pięty buciorów czterech tysięcy żołnierzy. W tej samej chwili na końcu placu apelowego pojawiła się grupa pięciu osób zmierzających w kierunku generała. Dopiero kiedy te małe niewyraźne postacie się zbliżyły, wszyscy zobaczyli, że są to czterej artylerzyści otaczający skazańca. Maszerowali dziarskim krokiem, tak idealnie zgrani, że co piąty krok prawymi piętami stukali o

bruk dokładnie z biciem zegara. Raz więzień się potknął, ale szybko z powrotem wpadł w rytm. Kiedy ucichło echo ostatniego uderzenia, zatrzymali się i zasalutowali. Potem artylerzyści zrobili w tył zwrot i odmaszerowali, zostawiając skazańca sam na sam z generałem.

Wybito werbel. Zabrzmiała trąbka sygnałowa. Na środek placu wystąpił urzędnik, trzymając wysoko przed twarzą kartkę, niczym herold na deskach teatru. Obwieszczenie trzepotało na lodowatym wietrze, lecz jak na tak małego mężczyznę jego głos był zaskakująco donośny.

— W imieniu narodu francuskiego Pierwszy Stały Sąd Wojskowy Rządu Wojskowego w Paryżu, rozpoznawszy sprawę przy drzwiach zamkniętych, na posiedzeniu jawnym wydał niniejszy wyrok — przemówił. — Sędziom zadano jedno pytanie, następującej treści: czy Alfred Dreyfus, kapitan Czternastego Pułku Artylerii i oficer służący w sztabie generalnym, jest winny tego, że w roku tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym czwartym przekazał obcemu mocarstwu lub jego przedstawicielom w Paryżu wiele tajnych bądź poufnych dokumentów dotyczących obrony narodowej? Sąd jednomyślnie orzekł: „Tak, oskarżony jest winny”. Sąd jednomyślnie skazuje Alfreda Dreyfusa na karę dożywotniego zesłania do kolonii karnej oraz degradację i nakazuje, by pozbawienie go stopnia kapitana odbyło się na oczach pierwszej parady wojskowej garnizonu paryskiego.

Urzędnik wrócił na swoje miejsce. Generał Darras uniósł się w strzemionach i wyciągnął szpadę. Żeby na niego spojrzeć, skazaniec musiał zadrzeć głowę. Odebrano mu pince-nez, więc nosił teraz okulary bez oprawki.

— Alfredzie Dreyfus, jesteście niegodni noszenia broni. W imieniu narodu francuskiego degradujemy was!

— I w tym momencie więzień odezwał się po raz pierwszy — opowiadam Mercierowi.

Minister z zaskoczenia aż podskakuje.

— Odezwał się?! — powtarza z niedowierzaniem.

— Tak. — Z kieszeni spodni wyciągam notes. — Podniósł obie ręce nad głowę i krzyknął... — Tu sprawdzam swoje zapiski, żeby niczego nie pokręcić. — „Żołnierze, oni degradują niewinnego człowieka...! Żołnierze, oni niewinnego człowieka pozbawiają honoru! Niech żyje Francja...! Niech żyje wojsko...!” — Czytam wyraźnie, bez emocji, czyli dokładnie tak, jak skazaniec wykrzykiwał te słowa. Jedyna różnica polega na tym, że Dreyfus, jako Żyd z alzackiej Miluzy, lekko zaprawił je niemieckim akcentem.

— Jak można było do tego dopuścić? — oburza się minister z marsową miną. — Mówił pan, zdaje się, że gdyby więzień chciał wygłosić mowę, mieli zagrać marsz?

— Generał Darras uznał, że kilka okrzyków protestu to jeszcze nie przemówienie, a muzyka klóciłaby się z powagą sytuacji.

— Czy tłum jakoś zareagował?

— Tak. — Ponownie zaglądam do notatek. — Ludzie zaczęli skandować: „Śmierć... śmierć... śmierć...”.

Słyszając, jak skandują, spojrzeliśmy w stronę barierek.

— Muszą coś zrobić, inaczej to się może wymknąć spod kontroli — rzekł pułkownik Sandherr.

Poprosiłem o pożyczenie lornetki teatralnej. Podniosłem ją do oczu, wyregulowałem ostrość i zobaczyłem, jak olbrzymi starszy sierżant Gwardii Republikańskiej kładzie ręce na Dreyfusie. Kilkoma ruchami mocarnych rąk zdarł epolety z jego ramion, pourywał wszystkie guziki z kurtki mundurowej i złote galony z rękawów, a potem ukląkł i oderwał czerwone lampasy ze spodni. Skupiłem się na minie Dreyfusa. Jego twarz była pozbawiona wyrazu. Patrzył prosto przed siebie, kiedy szarpano nim raz w tę, raz w tamtą stronę; poddawał się temu upokorzeniu jak dziecko, któremu zirytowany dorosły poprawia ubranie. Na koniec starszy sierżant wyjął szpadę Dreyfusa z pochwy, wbił jej czubek w błoto i złamał klingę kopnięciem buciora. Rzucił jej obie części na kupkę pasmanterii u stóp skazańca, raptownie zrobił dwa kroki w

tył, obrócił się twarzą do generała i zsalutował, a tymczasem Dreyfus spoglądał na podarte symbole jego honoru.

— No, Picquart, to wy macie lornetkę — burknął niecierpliwie Sandherr. — Mówcie nam, jak on wygląda.

— Wygląda... — zwróciłem lornetkę urzędnikowi — wygląda jak żydowski krawiec podliczający, ile pieniędzy zmarnowano na te pozdierane złote galony. Gdyby miał na szyi centymetr krawiecki, mógłby być krojczym w szwalni przy rue Auber.

— Dobrze — pochwalił Sandherr. — Podoba mi się.

— Bardzo dobre — przytakuje Mercier, zamykając oczy. — Widzę go jak na dłoni.

— Niech żyje Francja! — krzyknął znów Dreyfus. — Przysięgam, że jestem niewinny!

A potem, pod eskortą, rozpoczął długi marsz wzdłuż czterech stron cour Morland, paradując w podartym mundurze przed każdym oddziałem wojska, żeby żołnierze na całe życie zapamiętali sobie, jak armia traktuje zdrajców. Co pewien czas wykrzykiwał: „Jestem niewinny!”, a tłum gapiów kwitował te słowa szyderczymi gwizdami i okrzykami „Judasz!” oraz „Żydowski zdrajca!”. Na pozór ciągnęło się to w nieskończoność, chociaż według mojego zegarka trwało nie więcej niż siedem minut.

Gdy Dreyfus ruszył w naszym kierunku, człowiek z Ministerstwa Spraw Zagranicznych, na którego przypadła kolej obserwacji przez lornetkę, odezwał się tym swoim rozwlekłym głosem:

— Nie rozumiem, jak ten gość może twierdzić, że jest niewinny, skoro pozwala się tak upokarzać. Gdyby rzeczywiście był niewinny, z pewnością spróbowałby walczyć, a nie potulnie dawał się tak prowadzić. A może wszyscy Żydzi tak mają, jak sądzicie?

— Wiadoma rzecz, że to żydowska przypadłość — odparł Sandherr. — Ta rasa jest wyzbyta patriotyzmu, honoru i dumy. Od stuleci nic tylko zdradzają ludzi, wśród których

żyją, poczynając od Jezusa Chrystusa.

Kiedy Dreyfus mijał miejsce, gdzie staliśmy, Sandherr na znak pogardy odwrócił się do niego plecami. Natomiast ja nie mogłem oderwać od skazańca wzroku. Czy to dlatego, że ostatnie trzy miesiące spędził w więzieniu, czy to z powodu przejmującego zimna jego twarz była bladoszara i obrzmiała, o barwie czerwia. Pozbawioną guzików czarną kurtkę od munduru miał rozchełstaną, wystawała spod niej biała koszula. Rzadkie włosy sterczały na głowie kępkami. Dreyfus szedł ze swą wartą, nie gubiąc kroku. Gdy nas mijali, zerknął w naszą stronę. Przez chwilę patrzyliśmy sobie w oczy, a ja zajrzałem w głąb jego duszy, zobaczyłem zwierzęcy strach i rozpaczliwą psychiczną walkę, żeby nie dać się złamać. Odprowadzając go wzrokiem, uświadomiłem sobie, że ten błysk w jego włosach to ślina. A Dreyfus ani chybi zastanawiał się, jaką rolę odegrałem w doprowadzeniu go do upadku.

Pozostał mu już ostatni etap jego drogi krzyżowej, ten najgorszy, tego akurat byłem pewien — przejście wzdłuż barierek przed tłumem. Policjanci wzięli się pod łokcie, próbując utrzymać publikę na dystans. Jednak na widok zbliżającego się więźnia tłum napał do przodu. Policyjny kordon wybrzuszył się, naprężył, a potem pękł, przepuszczając demonstrantów, którzy rozlali się po chodniku i wzdłuż barierek. Dreyfus zatrzymał się, odwrócił i uniósłszy ręce, coś powiedział. Stał zwrócony do mnie plecami, więc nie słyszałem jego słów, jedynie znajome wyzwiska: „Judasz!”, „Zdrajca!”, które rzucano mu w twarz, oraz okrzyki: „Śmierć Żydom!”.

W końcu straż odciągnęła go i zaprowadziła do furgonu więziennego, stojącego niedaleko w otoczeniu konnej eskorty. Skazaniec miał ręce skute na plecach. Wsiadł do furgonu. Drzwi zamknięto, zaryglowano, zacięto konie batem i orszak ruszył z kopyta, wyjeżdżając przez bramę na Place de Fontenoy. Przez chwilę wątpiłem, czy zdoła uciec otaczającej go ciżbie i wyciągniętym rękoma uderzającym w boki powozu. Ale kawalerzyści odpędzili rozjuszonych, siekąc ich na płask

brzeszczotami szabel. Dwukrotnie usłyszałem trzaśnięcie bicia. Woźnica wydał krzykiem rozkaz, wóz przyśpieszył, wyrwał się z tłumu, skręcił w lewo i zniknął.

Prawie natychmiast padła komenda do marszu. Wydawało się, że od tupotu żołnierskich butów trzęsie się ziemia. Zadełto w trąbki. Werble wybijały rytm. W chwili gdy orkiestra zagrała *Sambre-et-Meuse*, zaczął sypać śnieg. Poczułem wielką ulgę. Jak chyba wszyscy. Odwracaliśmy się spontanicznie do siebie, ściskając sobie ręce. Zupełnie jak gdyby zdrowe ciało oczyściło się z morowego plugastwa i życie mogło się zacząć od nowa.

. . .

Kończę zdawać relację. W pokoju ministra zapada cisza, jeśli nie liczyć trzaskającego ognia w kominku.

— Szkoda tylko, że zdrajca pozostanie przy życiu — odzywa się w końcu Mercier. — I mówię to, mając na względzie głównie jego interes. Bo jakie życie go czeka? Zabijając go, wyświadczylibyśmy mu uprzejmość. Dlatego chciałem, żeby Izba Deputowanych przywróciła karę śmierci za zdradę.

Boisdeffre potakuje głową.

— Starał się pan ze wszystkich sił, panie ministrze — przypochlebia się.

Mercier wstaje, towarzyszy temu trzask stawów kolanowych. Podchodzi do wielkiego globusa osadzonego na stojaku obok biurka i przywołuje mnie skinieniem ręki. Wkłada okulary, po czym spogląda na kulę ziemską niczym krótkowzroczny bóg.

— Muszę go umieścić w takim miejscu, żeby z nikim nie mógł rozmawiać — mówi. — Nie chcę, żeby przemycał kolejne zdradzieckie wiadomości. I co nie mniej ważne, nie życzę sobie, żeby ktokolwiek mógł się z nim kontaktować.

Minister zaskakująco delikatnie kładzie dłoń na półkuli północnej i łagodnie zakręca światem. Przed nami przesuwa

się Atlantyck. Mercier zatrzymuje kulę i wskazuje jakieś miejsce na wybrzeżu Ameryki Południowej, siedem tysięcy kilometrów od Paryża. Patrzy na mnie i unosi brew, zapraszając, żebym sam się domyślił.

— Kolonia karna w Cayenne? — pytam.

— Ciepło, ale mam coś pewniejszego. — Nachyla się i klepie globus. — Diabelska Wyspa, piętnaście kilometrów od wybrzeża. W morzu roi się od rekinów. Przez ogromne fale i silne prądy nawet łodzią trudno tam przybić.

— Myślałem, że tę kolonię zamknięto już lata temu.

— Owszem. Ostatnimi jej mieszkańcami byli trędowaci skazańcy. Będę musiał uzyskać zgodę Izby Deputowanych, ale tym razem ją dostanę. Ponownie otworzymy tam więzienie, specjalnie dla Dreyfusa. No i co pan na to?

Moją pierwszą reakcją jest zaskoczenie. Mercier, ożeniony z Angielką, uchodzi za republikanina i wolnomyśliciela — na przykład nigdy nie chodzi na mszę — a są to przynioty, które podziwiam. Mimo to ma w sobie coś z fanatycznego jezuity. Diabelska Wyspa? — myślę sobie. Podobno wkraczamy w wiek dwudziesty, a nie w osiemnasty...

— No i? — powtarza. — Co pan o tym sądzi?

— Czy nie trąci to trochę... — Starannie dobieram słowo, pragnę być taktowny. — Dumasem?

— Trąci Dumasem? Co pan chce przez to powiedzieć?

— Tylko tyle, że to wygląda na karę wyjętą z powieści historycznej. Pobrzmiewa w niej echo *Człowieka w żelaznej masce*. A jeśli Dreyfus zyska przydomek Człowieka z Diabelskiej Wyspy? Zostałby najślynniejszym więźniem na świecie...

— No właśnie! — krzyczy Mercier i w rzadkim przejawie emocji klepie się w udo. — Właśnie to mi się w tym podoba. To zawładnie społeczną wyobraźnią.

Ustępuję wobec wyższości jego oceny sytuacji politycznej, jednocześnie zastanawiając się, co ma do tego społeczeństwo. Dopiero gdy biorę płaszcz i zmierzam do wyjścia, minister

podrzuca mi odpowiedź:

— Być może po raz ostatni widzimy się w tym gabinecie.

— Przykro mi to słyszeć, panie generale.

— Jak pan się domyśla, niespecjalnie interesuję się polityką. Jestem zawodowym żołnierzem, nie politykiem. Jednak o ile mi wiadomo, wśród partii panuje wielkie niezadowolenie i rząd może przetrwać najwyżej tydzień czy dwa. Niewykluczone nawet, że będziemy mieli nowego prezydenta. — Mercier wzrusza ramionami. — Tak czy owak, my, żołnierze, służymy tam, gdzie nam każą. — Podaje mi rękę. — Jestem pod wrażeniem inteligencji, jaką zaprezentował pan podczas całej tej nieszczęsnej afery, majorze Picquart. Nie zapomnimy o tym, prawda, generale?

— Oczywiście, że nie, panie ministrze. — Boisdeffre również wstaje, żeby mi podać rękę. — Dziękuję wam, Picquart. To było wielce pouczające. Czułem się, jakbym był przy tym obecny. A swoją drogą, jak wasz rosyjski?

— Wątpię, żebym nauczył się kiedyś mówić w tym języku, generale, ale potrafię już czytać Tołstoja... rzecz jasna, posiłkując się słownikiem.

— Wyśmienicie. Między Francją a Rosją dzieją się wielkie rzeczy. Dobra znajomość rosyjskiego bardzo się przyda młodemu obiecującemu oficerowi.

Już mam otworzyć drzwi, przy których stoję, kiedy Mercier odzywa się znienacka:

— Niech pan mi powie, czy w ogóle padło moje nazwisko?

— Czy padło? — Nie jestem całkiem pewny, o co mu chodzi. — W jakim sensie?

— W trakcie porannej uroczystości.

— Nie sądzę...

— Nieważne. — Mercier lekceważąco macha ręką. — Po prostu byłem ciekawy, czy w tłumie ktoś demonstrował...

— Niczego takiego nie zauważyłem.

— To dobrze. Niczego takiego nie oczekiwałem.

Cicho zamykam za sobą drzwi.

. . .

Wychodząc z powrotem do wietrznego kanionu rue Saint-Dominique, przytrzymuję czapkę, by nie zwiało mi jej z głowy, i przechodzę sto metrów do sąsiedniego gmachu Ministerstwa Wojny. Nikogo tam nie zastaję. Najwidoczniej moi towarzysze broni mają w sobotę lepsze rzeczy do roboty niż zajmowanie się biurokracją francuskiej armii. Równe chłopaki! Napiszę tylko oficjalny raport, uprzątnę biurko i spróbuję przestać myśleć o Dreyfusie. Truchtem wbiegam po schodach i korytarzem docieram do mojego gabinetu.

Od czasów Napoleona Ministerstwo Wojny dzieli się na cztery wydziały. Pierwszy zajmuje się administracją; Drugi — wywiadem; Trzeci — działalnością operacyjną i szkoleniem; a Czwarty — transportem. Ja pracuję w Trzecim, pod dowództwem pułkownika Bouchera, którego również nigdzie nie widać w ten zimowy poranek — ostatecznie to także równy chłop. Jako jego zastępca mam do dyspozycji osobny gabinet: gołą mniszą celę z wychodzącym na ponury dziedziniec oknem. Za całe umeblowanie służą mi dwa krzesła, biurko i szafka na akta. Ogrzewanie nie działa. Panuje taki ziąb, że przy każdym oddechu widzę parę ulatującą z moich ust. Nie zdejmując płaszcza, siadam i wpatruję się w stos papierów, który narósł w ciągu ostatnich kilku dni. Z jękiem sięgam po jedną z teczek.

Może ze dwie godziny później, wczesnym popołudniem, słyszę stukot kroków kogoś nadchodzącego wyludnionym korytarzem. Ten ktoś mija mój gabinet, zatrzymuje się, wraca i przystaje przed drzwiami. Drewno jest na tyle cienkie, że słyszę ciężki oddech. Wstaję, cicho podchodzę do progu, nasłuchuję, po czym gwałtownie otwieram drzwi i stwierdzam, że stoję twarzą w twarz z szefem Wydziału Drugiego — czyli zwierzchnikiem całego wywiadu wojskowego. Sam nie wiem, który z nas jest bardziej zdenerwowany.

— Generał Gonse — mówię, salutując. — Nie miałem

pojęcia, że to pan.

Gonse słynie z tego, że pracuje po czternaście godzin dziennie. Mogłem się domyślić, że jeśli ktokolwiek poza mną przebywa w budynku, to tylko on. Jego wrogowie twierdzą, że jedynie dzięki temu udaje mu się utrzymać na szczycie w tym zawodzie.

— Nic się nie stało, majorze Picquart. To gmaszysko to istny labirynt. Mogę? — Człapie na swoich krótkich nogach w głąb gabinetu, zaciągając się papierosem. — Przepraszam, że przeszkadzam, ale pułkownik Guérin właśnie przysłał mi wiadomość z Place Vendôme. Twierdzi, że dzisiaj rano Dreyfus się przyznał. Wiedział pan o tym?

Wybałuszam na niego oczy jak jakiś głupek.

— Nie, panie generale, nie wiedziałem.

— Wygląda na to, że na pół godziny przed rozpoczęciem uroczystości wyznał kapitanowi, który go pilnował, że naprawdę przekazywał dokumenty Niemcom. — Gonse wzrusza ramionami. — Pomyślałem, że powinien pan o tym wiedzieć, skoro miał pan mieć oko na wszystko i zdać relację ministrowi.

— Ale ja już mu przekazałem swój raport... — mówię przerażony. Taki stopień niekompetencji może raz na zawsze zniszczyć człowiekowi karierę. Od października, pomimo przytłaczających dowodów świadczących przeciwko niemu, Dreyfus uparcie odmawiał przyznania się do winy. Tymczasem teraz się dowiaduję, że w końcu się przyznał, na dobrą sprawę pod moim nosem, a ja tego nie zauważyłem! — Chyba pójdę tam i sprawdzę, jak to właściwie było.

— Też tak panu radzę. A kiedy już pan to wyjaśni, proszę wrócić i zdać mi sprawozdanie.

I znów wybiegam w lodowaty, szary półmrok. Łapię dorożkę na postoju przy rogu boulevard Saint-Germain, a po przyjeździe do École Militaire każę woźnicy poczekać i wbiegam do środka. Cisza na olbrzymim placu apelowym drwi sobie ze mnie. Jedyłą oznaką życia są śmieciarze

zbierający odpadki z Place de Fontenoy. Wracam do dorożki i każe się jak najszybciej zawieźć do siedziby wojskowego gubernatora Paryża przy Place Vendôme, gdzie w holu tego ponurego, zrujnowanego gmachu czekam na pułkownika Guérina. Ten się nie śpieszy, a kiedy się w końcu pojawia, sprawia wrażenie kogoś oderwanego od dobrego obiadu, kto czym prędzej pragnie wrócić do stołu.

— Wszystko już wyjaśniłem generałowi Gonse'owi.

— Przepraszam, pułkowniku, ale czy zechciałby pan to wyjaśnić również mnie?

Guérin wzdycha.

— Kapitan Lebrun-Renault został oddelegowany do pilnowania Dreyfusa w wartowni do czasu rozpoczęcia uroczystości. Przekazał go eskorcie, a kiedy zaczęła się ceremonia degradacji, podszedł do naszej grupy i powiedział coś w rodzaju: „A niech mnie kule biją, łądak właśnie przyznał się do wszystkiego”.

Wyjmuję notes.

— Co, według kapitana, powiedział mu Dreyfus? — pytam.

— Nie pamiętam dokładnie co do słowa. Sedno sprowadzało się do tego, że przekazywał Niemcom jakieś tajemnice, ale nic ważnego, minister wiedział o wszystkim, a w ogóle to za kilka lat cała historia i tak wyszłaby na jaw. Coś w tym guście. Musi pan porozmawiać z kapitanem Lebrunem-Renault.

— Tak zrobię. Gdzie go znajdę?

— Nie mam pojęcia. Zszedł ze służby.

— Czy wciąż przebywa w Paryżu?

— Drogi majorze, a skąd ja mam to wiedzieć?

— Czegoś tu nie rozumiem — oświadczam. — Z jakiego powodu Dreyfus miałby nagle przyznawać się do winy nieznanemu, w takim momencie i nie mając niczego do zyskania, skoro przez trzy miesiące wszystkiego się wypierał?

— W tej kwestii panu nie pomogę. — Pułkownik ogląda się przez ramię w kierunku stygnącego obiadu.

— Poza tym skoro dopiero co przyznał się kapitanowi Lebrunowi-Renault, to dlaczego po wyjściu na dwór w obliczu wielotysięcznego tłumu kilkakrotnie wykrzykiwał, że jest niewinny?

Pułkownik prostuje się.

— Czy zarzuca pan jednemu z moich oficerów kłamstwo?

— Dziękuję, pułkowniku — odpowiadam, chowając notes.

Po powrocie do ministerstwa od razu kieruję się do gabinetu Gonse'a, który śleczy nad stertą akt. Słuchając mojego raportu, kładzie nogi na biurku i odchyła się na krzesle.

— Czyli pańskim zdaniem to opowieść bez pokrycia? — pyta.

— Owszem. Zwłaszcza odkąd poznałem szczegóły. Jest dużo bardziej prawdopodobne, że ten tępy kapitan gwardii źle go zrozumiał. Ewentualnie zmyślił całą bajeczkę, żeby zyskać na znaczeniu w oczach kolegów. Rzecz jasna, zakładam, że Dreyfus nie był podwójnym agentem podeślany Niemcom — dodaję.

Gonse wybucha śmiechem i zapala następnego papierosa.

— A szkoda! — rzuca.

— Co mi pan teraz zleci, generale?

— Nie sądzę, żeby mógł pan zrobić coś więcej.

Zastanawiam się.

— No cóż, jest tylko jeden sposób, żeby zyskać pewność — mówię z wahaniem.

— Mianowicie jaki?

— Możemy zapytać Dreyfusa.

Gonse kręci głową.

— Wykluczone. Nie ma już z nim żadnego kontaktu. Zresztą, wkrótce zostanie wywieziony z Paryża. — Zdejmuje nogi z biurka i opuszcza na podłogę. Przysuwa sobie stos teczek. Na front jego munduru spada popiół z papierosa. — Proszę zostawić to mnie. Wyjaśnię wszystko szefowi sztabu i ministrowi. — Otwiera jakieś akta, zaczyna je czytać. — Dziękuję, majorze Picquart — mówi, nie podnosząc wzroku.

— Może pan odejść.